



## Franciszek Ramik

## część I z II

Sygnatura notacji: **N0609**

Data urodzenia: **1919 r.**

Data nagrania: **26.05.2012 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 35 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Franciszek Ramik:** Urodziłem się w 1919 roku w Karwinie na Zaolziu. Moi rodzice to był Robert i Gizela Ramikowie, a pochodzenia właściwie tak prawdę mówiąc, od 1712 roku na Śląsku, a przedtem to była Chorwacja. Z Austriakami ześmy się prali, jak tylko możliwe i właściwie cała zabawa polegała na tym, że myśmy udawali, no, wszyscy byli ciekawi skąd, to myśmy mówili: „Z Polski”, bo powiedzmy, w rzeczywistości z Polski przyjechaliśmy na Śląsk i od tego się zaczęło, tak że powiedzmy od 1712 roku Śląsk i na Śląsku przez cały czas.

#### **A kim z zawodu był na przykład pana tata, czym się zajmował?**

**Franciszek Ramik:** Mój ojczulek był, skończył szkołę górniczą w Leoben i w górnictwie pracował przez cały czas. To było na Śląsku po czeskiej stronie w Polsce, w Niemczech, w Austrii i na Węgrzech.

#### **Czy pan był jedynakiem, czy miał pan rodzeństwo?**

**Franciszek Ramik:** Trochę o rodzinie proszę powiedzieć. Nie, byłem szczęśliwym jedynakiem. To znaczy miałem tylko braci i jedną jedyną siostrę. Nas było wszystkiego dziewięcioro dzieci z dwóch małżeństw. Pierwsza mama niestety umarła i druga mama się znalazła, zakochała się w rodzinie i ożenił się ojciec po raz drugi. W każdym razie miałem takie rodzeństwo, siedmiu braci i jedna siostra. Lepszego towarzystwa nie mogę sobie wyobrazić. Wszyscy zajęci w różnych zawodach, a ja, taki niedołęga jako ostatni skończyłem w Anglii architekturę i od tego czasu właśnie pracowałem w zawodzie, w swoim zawodzie.

## **No tak, ale architekturę skończył pan po wojnie, a proszę powiedzieć, przed wojną gdzie pan chodził do szkoły, czy tam w Cieszynie? Jak to wyglądało?**

**Franciszek Ramik:** Więc ja chodziłem zasadniczo w całym kraju. Między innymi w Czechosłowacji, w Polsce, w Niemczech, właściwie bardzo mało, jeśli chodzi o Austrię czy Węgry, ale to w większości za granicą to chodziłem do niemieckich szkół, a z czego się nie chlubię, ale w każdym razie powiedzmy, w 1939 roku już byłem po maturze i chciałem się dostać koniecznie na architekturę, ale tak się składało, że niestety administracja wojskowa Zaolzia zajęła mnie i 1 września 1939 roku znalazłem się w mundurze i przede wszystkim należąc do szturmowego, że tak powiem, jednostki przyłączonej do 4. PSP w Cieszynie, znalazłem się w szeregach Armii Polskiej, a raczej przy Armii Polskiej. To była organizacja bojowa. Na tym się rozpoczęła wojna rozpocząłem ją 1 września, a zakończyłem 19–20 września przez Czerwoną Armię, która nas, że tak powiem, wzięła pod swoją opiekę.

## **No dobrze, ale zaczął pan w Cieszynie. Armia Czerwona wkroczyła na wschód. Jak to się stało, proszę opowiedzieć o szlaku bojowym, między 1 a 19 września, gdzie pan walczył?**

**Franciszek Ramik:** Więc od 1-go, właściwie walczyłem od 2-go września. 1 września dołączyłem się do swojej jednostki, a 2 września już żeśmy byli po nasze uszy trochę dalej. To była 21. dywizja górską i zaczęło się od tego, że nas otoczyli, najpierw walczyliśmy z Austriakami od zachodu, nie wiedząc o tym, że Słowacy się chcieli przysłużyć Hitlerowi i pozwolili na przemarsz wojsk niemieckich przez Słowaczczyznę i uderzyli na nas z południa. Myśmy szli szlakiem, że tak powiem, podgórskim, poprzez Rabkę, poprzez, powiedzmy, wodę, której nie było i ja wylądowałem w końcu 14 września pod Łańcutem, gdzie już w dwa ognie nas wzięli i z zachodu, i ze wschodu. Ze wschodu, nawiasem mówiąc, uderzyli Niemcy, którzy przeszli przez Słowację. Zostałem ranny, bo artyleria niemiecka wyrzuciła w dom i posypały się naturalnie gruzy, częściowo na mnie. Tak że prawa noga była prawie że niepokryta. To było 14-go. 15-go skomunikowałem się z dowództwem dywizji. To była 21. górską, 4. Pułk Strzelców Podhalańskich. I powiedzmy, to było dosyć ciężkie, ze względu na tę nogę. Amputować w żadnym wypadku jej nie można było, ale napuchła cała, niezbyt przyjemnie. W każdym razie w tym stanie dowództwo dywizji przypuszczalnie wydało mi rozkaz, że mam się zameldować do dyspozycji dowódcy parku w Mikulińcach. Nie wiedziałem, gdzie są Mikulińce. Okazało się, że na południe od Tarnopola. Na południe to dla mnie była rewelacja. Po raz pierwszy dostałem tego rodzaju rozkaz, a drugie, nie powiedziano mi z jaką jednostką gdzie, co, jak. Okazało się dzięki żandarmerii polowej, że droga do Mikuliniec to stosunkowo jest bardzo łatwa. Dotrzeć do Tarnopola, od Tarnopola mniej więcej, jakieś 12–15 kilometrów będą Mikulińce. W każdym razie, że z 19-go na 20-go kiedy dotarliśmy do Mikuliniec, okazało się, że dowódca już wyjechał i myśmy się znaleźli w polu. Wobec tego ja jeszcze w międzyczasie... Przepraszam, dowództwo, dlatego że wszystkich ich oficerów Niemcy systematycznie tępili, po czym poznawali po pasach alianckich. Każdy oficer miał skórzany pas, był pistolet, a pistolet był zawieszony na tym, więc zupełnie rozumiałe, że Niemcy polowali na tych, którzy z pasami byli. W końcu w drugi dzień wojny został zabity dowódca plutonu po drugiej wojnie. Po drugim dniu wojny został zabity kapitan, dowódca, nazwijmy to, drużyny, która wyszła jako podparcie, że tak powiem, PSP, strzelców. W każdym razie zostaliśmy bez oficerów i z wykształcenia wojskowego ja miałem jedynie sporawe pojęcie. Wielu z żołnierzy było z armii austriackiej jeszcze. Poza tym wszyscy się zgodzili na to, że będą wykonywać, jak kogokolwiek postawimy na górze, będą rozkazy wykonywane. I ja się zdziwiłem, bo zostałem naj-

młodszy z całej grupy, bo jeszcze nie mam 19 lat, parę dni przed 20-ką zostałem dowodzącym i jaka grupa, to była grupa mniej więcej odpowiednik pełnych dwóch plutonów, więc to było zaskoczeniem dla mnie i przypuszczalnie dla nich też. Walka była prawie, pierwsze dwa tygodnie to był codziennie ogień. I biliśmy się wzdłuż krakowskiej, powiedzmy, pod Krakowem na wschód aż w końcu przekroczyliśmy do Łańcuta. W Łańcutcie zdarzyło się to, że czołgi niemieckie zderzyły się z czołgami niemieckimi. Myśmy myśleli, że to nasi przyjechali z tyłu, a to tymczasem oni przekroczyli granicę od południa i uderzyli na nas, zapominając zatem, że przed nami są Niemcy. W każdym razie przez pomyłkę przez ładnych parę minut różni do siebie nawzajem, z czego myśmy się bardzo ucieszyli. Myśmy się wymknęli wzdłuż toru kolejowego na południe i później na wschód. W każdym razie od Łańcuta ja czułem się trochę niewygodnie z rozbitą prawą nogą.

### **Powiedział pan, że doszliście do tych Mikuliniec i teraz jak to się stało, że was do niewoli wzięli Rosjanie? Czy już wiedzieliście, że 17-go wkroczyli?**

**Franciszek Ramik:** Przede wszystkim nie wiedziałem, że 17-go wkroczyli, ale myśmy w nocy z 19-go na 20-go otrzymali ogień, bardzo sporadyczny, Ukraińcy. Myśmy mieli CKM-y, odpowiedzieliśmy ogniem od razu na ogień, ale co się okazało, że w międzyczasie czołgi zajęły z dwóch stron, jak to możliwe. To były czerwone, wywiad, zwiad zameldował, że z czerwonymi gwiazdami. Jak to możliwe? Jakies nieporozumienie. W każdym razie od godziny mniej więcej 1:00 do godziny 4:00 rano, najpierw wymiana strzałów z okrążającymi nas Rosjanami, a później, mniej więcej od godziny 3:00 do 4:00 to myśmy w zawieszeniu prawie że byli, bo nie wiedzieliśmy o tym, że Rosjanie przekroczyli. W każdym razie, że przerwaliśmy ogień o 4:00 i doszło do porozumienia, że oni przychodzą nam z pomocą na czas przemarszu ich wojsk, my mamy złożyć broń i potem oni mieli rzekomo po przemarszu wypuścić nas i myśmy mieli wykonywać nasze własne rozkazy. To podejrzane z miejsca, jeszcze w międzyczasie jakiś pułkownik polski, skąd on się wziął, to ja nie wiem, ale w każdym razie meldował: „Nie wierzcie bolszewikom”. Myśmy – ja jeszcze dzisiaj wspominając to – przypominam sobie rozpacz tych ludzi, którymi myśmy dowodzili. Oni chcieli walczyć, a tymczasem to byli bolszewicy, nie Niemcy i skończyło się na tym, że odebrali broń, myśmy złożyli broń mniej więcej między 6:30 i 7:30. W tej godzinie. Potem, po złożeniu broni, gdzie myśmy częściowo parę karabinów maszynowych niby zdemolowali i to rzeczywiście strzelali do nas, więc prawie że się śmiali w oczy i otoczyli nas, piechota nas otoczyła, i czołgi. To było 20-go rano. Mniej więcej koło 10:00. Oni byli gotowi wymaszerować, więc czwórki się wystawiło i zaczęli nas prowadzić na południowy wschód, więc tam nasi na Odessę. Możliwe, że tak, możliwe, że nie. W każdym razie pod samodzielnym prawie że, resztę dnia, 20-go przemaszzerowaliśmy ładny kawał i jeszcze się udało mnie, że dałem, miałem saperską, powiedzmy, cholewę, na jednej nodze, na drugiej normalną i skończyło się na tym, ten pierwszy dzień, że gdzieś utknęliśmy i nie wiadomo, co to było. Przekroczyliśmy Rusiątn i na Rusiątniu była stara granica i tam przegrupowanie przyszło, że więcej czołgów nas konwojowało. Cały 21 i 22 września szli i szli, i szli, i najgorsze było to, że zamiast na południowy wschód, myśmy ni stąd, ni zowąd prawie, że pod kątem wrócili na starą trasę. I dojechaliśmy gdzieś, licha wie, puste pole. Okazało się, że przy tym pustym polu były druty kolczaste i tam był pierwszy obóz. To było na południe od Żytomierza. To wszystko, co myśmy wiedzieli. W tym obozie byłem... I tu ja czasem się myślę, albo siedem dni, albo sześć dni byłem w tym obozie i za każdym razem mnie w nocy przesłuchiwali, ten polityk to był czerwony cały. Przypuszczam, że jakaś wyższa ranga, ale w każdym razie był grzeczny stosunkowo, a żadnego bicia tam jak niektórzy opowiadają, nikt nie uderzył, nawet w pewnym momencie „Palisz?”,

a ja w tym czasie jeszcze paliłem. Mówię: „Tak”. On wyciągnął papierosa, dał mi papierosa i to było, że tak powiem, takie polubowne. Ja naturalnie zbruchałem jako ślusarski uczeń, udawałem, że to samo, ale pamiętałem mniej więcej treść tego mojego zeznania, aż mnie, zdaje się, na szósty albo siódmy dzień załadowali na ciężarowy samochód. Naturalnie tam było już więcej ludzi, na tym jedną ze znajomych twarzy był kapitan żandarmerii, Warszawiak, którego ja przedtem poznałem i tylko tamci mówili, że nie wolno rozmawiać między sobą. W każdym razie z nim szarpaliśmy się za rękawy i ja powiedziałem: „Ja zwiewam”. Z tą moją kulawą nogą, wyglądało na to, że zobaczyli. W każdym razie sowieckie drogi ja będę chwalił, bo bardzo dobre były. Było pełno dziur, tak że ta ciężarówka z jednej dziury do drugiej dziury. Ten bojec, który stał koło mnie z tyłu, poszedł zapalić papierosa do swojego koleżki i jak się zbliżył do niego, widocznie uderzył w jego papierosa, w każdym razie, że w tym momencie on wpadł na niego. Ja już więcej nie czekałem, susa po drabince i w dół na ulicę. To było moje pożegnanie. Zdążyłem się przetoczyć do rowu. Rowy były olbrzymie, ale były suche, więc ja miałem jeszcze na tyle zmysł, że szarpnąłem za rękaw mojego kapitana znajomego, ale ja tam byłem w tym miejscu mniej więcej, powiedzmy jakieś pół godziny, może więcej. Mi w ogóle wyglądało na wieczność. I myślałem, że on wyskoczy też, nie wyskoczył. Tak że ja zostałem sam. Teraz co się stało, samochody, cały konwój, jak się przed tym zatrzymał, ruszyli i nikt nie zwracał uwagi na to, że ktoś zwiął czy wyskoczył albo coś. W każdym razie ja byłem sam jeden. Być może, że jeszcze ktoś wyskoczył dalej, ale ja już nikogo nie spotkałem. Zajęło mi resztę nocy, żeby maszerować na zachód. Jeszcze po księżycu dotarłem. W końcu, już nie będę opowiadał, wszystkie pola chwastów, dotarłem do Zbrucza. A w Zbruczu co teraz? Ja nie miałem zielonego pojęcia, czy rzeka była płytka, jaka była ta rzeka. W każdym razie wiedziałem, że po drugiej stronie to była dla mnie Polska. Tak że w końcu udało mi się zdecydować i wyrwałem sobie kij porządny jeszcze z wierzby, przeszedłem przez rzekę. Rzeka okazała się mniej więcej po trochę wyżej pasa, ale poza tym nie było żadnych dziur, tak że bez żadnej zabawy, znalazłem się na drugiej stronie i rozpoczęła się tam wędrówka po ziemi polskiej, ale przedtem coś mnie popędziło. Ja byłem tak zmęczony, że położyłem się, tam kartofle rosły. W tym miejscu ja poszedłem, że tak powiem, dałem upust zmęczeniu, położyłem się na tych kartoflach. Zmora jakaś i udało mi się wyskoczyć na równe nogi z kijem w rękę. A tu człowiek w cywilu, „Niech pan się nie boi”. Po polsku. Ten gość mnie trzymał w swoim domu. To za dużo opowiadania. Jak samochodem podjechał na drodze i to był urzędnik ubezpieczalni z Kopyczyniec. Kopyczyńce były stosunkowo blisko Rusiatyna, ale to była dla mnie już rewelacja. Ja ładny kawał przeszedłem w nocy przez te kartofle i piorun wie, co tam jeszcze było.

**Na chwilę przerwę. Proszę powiedzieć, jak pan sądzi, ilu was było, tych żołnierzy, w tym obozie na południu od Żytomierza, ilu was tam mogło być?**

**Franciszek Ramik:** Nam opowiadano, że jest pięć tysięcy. Ile było w rzeczywistości, licho wie. Oni przedzielili na mniejsze porcje, tak że w tej, powiedzmy, drutowanej zagrodzie nas było na pewno koło tysiąca. To ja wiem. Ilu z nich oni przepytawali, licho wie. W każdym razie wiem, że mnie przepytawali co nocy i wyglądało na to tak dzisiaj, zawsze powtarzam na zakończenie, mówi, że on wie, „Ja znaju kto wy podchorąży, kapral” i oni do tych lotników mieli pretensje. „Lotczyk”. A na zakończenie mówi: „Szpion”. Jaki dureń by wysłał do obozu szpiega, szpiegował na co. Więc ja pierwszy raz się uśmiechnąłem, ale ten uśmiezek szybko zniknął. I tak to wyglądało. Przesłuchanie było mniej więcej, czy ja wiem, może blisko trzy kwadranse, nie dłużej, ale w każdym razie nikt mnie nie uderzył, nie torturowali mnie ani nie słyszałem, żeby kogokolwiek tam torturowali.

## **Dobrze, to teraz wracamy. Jest pan teraz, uciekł pan i powiedział pan, że przechowuje pana ten urzędnik. Jak długo on pana przechowywał?**

**Franciszek Ramik:** Ja przypuszczam, że tam jeszcze inni byli. W każdym razie na pewno rachubę czasu. Zupełnie poszło w [dłoń?]. Ja przypuszczam, że mniej więcej sześć dni nas trzymał i siebie. Dali mi jeść, gorącą kąpiel i częściowo z munduru zrobili cywila. Ale przez pomyłkę zrobili, że płaszcz został, płaszcz żołnierski. Skończyło się na tym, że on po kilku dniach miał jakąś komitwę z kolejarzami i dwóch kolejarzy było, motorowi. Zgodzili się na to, żeby mnie przewieźć na południe. Do dzisiaj nie jestem pewien, co to była za rzeka. W każdym razie była przerwa. Lokomotywa dojechała do rzeki i na tym koniec. Mnie przeprowadzili przez most pontonowy, który nie był strzeżony przez nikogo. Ani jednego sowiety nie widziałem. Nikt nas nie śledził. Po prostu pociąg stanął i od tego momentu na pomoście pontonowym przeszli przez rzekę. To była mniejsza rzeka. Zbrucz był szerszy. I tam znowu na wóz, na, powiedzmy, pociąg stał i czy ja wiem, może dwie godziny później ruszył. Okazało się, że my jedziemy na Stanisławów. Dojechaliśmy do Stanisławowa. Owszem, stanąć, stanął. Tam już bolszewicy byli, żołnierze sowieccy byli. Pojechaliśmy, [niezrozumiałe] lokomotywę, ale pojechaliśmy dalej. Okazało się, że następna była dolina. W dolinie stanął. Z doliny, do Stryja, ze Stryja udało się zwiać, bo stacja Stryja była otoczona wojskiem, więc panie przez ustęp, Zabrał mnie do ustępu. Ja przelazłem na drugą stronę. Nie wiedziałem, gdzie, co i jak. Znalazłem się po drugiej stronie, też ustęp i ulica. Więc ja w nogi. Ale nikt, nie zauważyłem, żeby ktoś mnie śledził. W każdym razie, że w końcu znowu wróciłem na stację. Co to była za stacja? Licho wie. Pojechałem do Lwowa, przyjechałem do Lwowa i „Panie, najlepiej jak pan pójdzie na Zamarstynów”. I na Zamarstynowie była państwowa szkoła ogrodnicza. I powiedziano mi, że tam są Ślązacy, jest grupa Ślązaków. Coś oni tam knują. Okazało się, że rzeczywiście kilku tam było z mojej organizacji. Organizacja bojowa. Ni stąd, ni zowąd, wpadłem do swojego. W każdym razie we Lwowie przeżyłem, że tak powiem, nie wiem dokładnie, ale do początku grudnia. W grudniu dostałem rozkaz do Doliny. Po co do Doliny? Okazuje się, że Dolina służyła jako punkt przerzutowy na Węgry. Tam były dwie wioski. Jedna wioska to pamiętam, że większość była Polaków. Polscy chłopcy opaski sobie dali czerwone i karabiny skądś dostali. Niby oni są strażakami. Po kilku dniach udało nam się skompletować ja i dwóch jeszcze Poznaniaków, ci to byli studenci, broń mieli. Więc broń dobrze, ale to za mało. Dali nam granaty i myśmy wyglądali jak bojowcy rzeczywiście. Bagnetami obładowany pas i ruszyliśmy w przeddzień Bożego Narodzenia w 1939 roku ku granicy. Na dole była odwilż. Na górze mróz. Jak żeśmy szli, to cicho. Jak można cicho powiedzieć mrozowi. Te spodnie schły, się ocierały. Szum. W każdym razie tu krótko na drodze. Aha, i jeszcze warunek był, dlaczego spieszyć się. Bo Sowietci wprowadzają psy na granicę. Myśmy żadnego psa nie widzieli. Być może, że tak. Ja przypuszczam, że raczej tak, ale to wieśniacy tam, miejscowi powiedzieli, że widzieli psy, przyszły. W każdym razie, że doszło do tego, że w pewnym momencie zza drzewa ja widziałem, jak się lufa podnosi w górę. Myślę sobie, „sowieciarz”. Więc naturalnie zatrzymałem tych dwóch swoich towarzyszy, lufa się opuściła.

## **Czyli kiedy się pan znalazł na Węgrzech?**

**Franciszek Ramik:** Więc na Węgrzech, na trzeci dzień ta przygoda, powiedzmy, z tym karabinem, ja najpierw ich złapałem i skoczyliśmy do kosodrzewiny. W każdym razie tam więcej się nam nie pokazał, czy to żołnierz był. Myśmy nie widzieli, albo sowieciarz, albo nasz. Upewnił się. W każdym razie nie strzelił. To było jedno. I myśmy poszli pra-

wie że blisko szlaku, i doszliśmy do punktu, gdzie były kamienie. Kamień graniczny. Więc tych dwóch wrócili najpierw, bo myśmy natrafili na węgierski kamień i oni jeszcze chcą ziemi polskiej zabrać. Wrócili, całe szczęście, że nikt nie strzelił do nich, bo Węgrzy obstawioną mieli granicę zupełnie, prawie że zamkniętą. Do nas przyskoczył żołnierz węgierski, ja znałem kilka słówek węgierskich, naturalnie [po węgiersku] [po węgiersku] I zapomniał o tym, że ma karabin, zarzucił karabin na plecy i w objęcia. Myśmy nie wiedzieli, nie można za dużo zaufać człowiekowi, który stoi na straży. Okazuje się, że to była placówka węgierska. Niedaleko był posterunek węgierski. Jak nas po jakiejś pół godzinie, trzy kwadransy przyszedł, zmiana warty i porucznik był, który mówił po słowacku. Więc naturalnie myśmy zaczęli rozmawiać, i mówi, co my jesteśmy. Czy jesteśmy katonai – żołnierze. Ale my chcemy iść do armii polskiej. Się roześmiał i mówi „dlaczego by nie”. Ok, teraz głodni jesteście, chodźmy na posterunek. Na posterunku natrafiliśmy na kapitana Węgra, który nie rozumiał jednego słówka ani po niemiecku, ani w żadnym innym języku. W każdym razie, że jak nam nagotowali, „Nie mówcie nic, proszę siadać” i proszę sobie wyobrazić, my napikowani granatami za pasem, z pistoletami, mieliśmy pistolety porządne i naturalnie niemieckie, i cały pic polegał na tym, że dali nam pełną patelnię, że tak powiem, żelazną jajecznicę, zrobili to, „jedźcie, jedźcie. Tyle, ile tylko możecie”. Myśmy rzeczywiście wcinali, jak nie wiadomo co.

**Dobrze, musimy troszkę skracać. Proszę nam tak tylko powiedzieć w punktach, jak pan się znalazł we Francji? Bo rozumiem, że z Węgier do wojska we Francji pan dotarł.**

**Franciszek Ramik:** Nie, właśnie na tym polegał wic. Mnie powiedziano, że do Francji się dostanę, jeśli na ochotnika pojedę zawieźć coś do Adlera. Adler był pułkownik polski na Śląsku, ale Niemca udawał na sto dwa. Przez cały czas. W każdym razie myśmy jeszcze dotarli do Budapesztu z tego dworca kolejowego i tam pyta się, [po węgiersku] więc pyta się, czy ja rozumiem po węgiersku. Ja mówię: „Dlaczegoż by nie?” [po węgiersku] Zasalutował, puścił. Następnego dnia się okazało, że to były posterunki wojskowe, które otoczyły całkowicie ten dworzec i zatrzymywali wszystkich obcokrajowców. Ponieważ ja powiedziałem mu od razu po węgiersku, bez namysłu, Węgier i dostałem się w serce, że tak powiem, Budapesztu. W Budapeszcie zatrzymałem się dosyć prawo. Wysłali mnie do [niezrozumiałe] niżej. To było miasto na południe od Balatonu, od Błotnego Jeziora. W każdym razie rzekomo miałem jechać do Francji, ale pod warunkiem, że najpierw jeden raz przynajmniej pojedę do Polski z powrotem z pakunkiem. Już nie będę opowiadał tego wszystkiego. Zawiozłem pieniądze Adlerowi, a Adler niby pułkownik, a przez cały czas po niemiecku. Nic a nic szło w tym się nie zdradził, że nie Niemiec. Płynną niemieczyzną, ja już w tym czasie dobrze mówiłem po niemiecku. W każdym razie, że byłem na Węgrzech raz, byłem drugi raz, na tym koniec Francja upadła. Gdzie teraz? Na środkowy środek, jak to mówią. Okazało się, że ktoś wymyślił, że ostatecznie Palestyna jest mandatem brytyjskim i myśmy jeszcze, mówię „My”, bo okazało się, że w międzyczasie myśmy jechali koleją, Włosi zbombardowali tę kolej, bo już była wojna z Grecją i oni rzucili parę bomb na ten pociąg. Zostało kilku tych Madziarów było rannych i Greków. I to myśmy pomagali. Człowiek leży, krwawi, to myśmy pomagali nosić. Już się rozeszło, że Polacy jadą. Zaczęli wszyscy krzyczeć „Vive la Pologne!”, a my się staramy po cichu nie mówić nic, a tu całe Thessaloniki krzyczy „Vive la Pologne!”, I chcieli nas zatrzymać w Salonikach, a my musimy, idziemy do wojska. W każdym razie dojechaliśmy do granicy tureckiej. Turczyn, przystojniak taki. Okazuje się, inżynier, który studiował w Polsce i inżynierię studiował w Warszawie, i w Warszawie rzekomo, tak opowiadał, w każdym razie żadnej absolutnie, Turcy nie robili żadnych wstrętów. Pomogli nam, przenocowaliśmy naturalnie w Istambule. Później ześmy pojechali do Marsylii. To była zatoka, zagłębienie w takim, jak jest Cypr, to było na północny wschód. Tam okazało się, już nie natapali, ale trzymali Polaków, bo rzekomo „Warszawa” ma przyjechać i na „Warszawę” pojedziemy. Ok. Mniej więcej na tę „Warszawę” myśmy czekali, zdaje się trzy albo cztery dni.